Nr. LIX Luty 1938

NASZA

PRZYSZŁOŚĆ

WYDAWCA I REDAKTOR: Dr. JAN BOBRZYŃSKI
ADRES REDAKCJI: WARSZAWA, ŻÓRAWIA 11 m. 8, TELEFON 9.27-61

Prenumerata

wynosi rocznie zł. 8, półrocznie zł. 4

Dziesięć zeszytów rocznie

Broszury dodatkowe otrzymują Prenumeratorzy gratisowo.

Cena pojedyńczego zeszytu 1 zł.

Nr. LIX Luty 1938

NASZA PRZYSZŁOŚĆ

WYDAWCA I REDAKTOR: Dr. JAN BOBRZYŃSKI
ADRES REDAKCJI: WARSZAWA, ŻÓRAWIA 11 m. 8, TELEFON 9.27-61

2

Druk. „LECH", Warszawa, Koszykowa 33. Tel. 8.90-66.

TREŚĆ:

Naprzód Polsko!!!

Istnieje w polskim kodeksie karnym pewien specjalny artykuł, który grozi srogiemi karami obywatelowi za podżeganie do wojny.

Jesteśmy jednak pewni, że w niczem nie wykraczamy przeciw temu artykułowi, wzywając niniejszem czynniki powołane oraz całe nasze społeczeństwo do zdecydowanej, odważnej, męskiej a szczególnie aktualnej akcji. Wzywamy dlatego, że pomyślna fortuna bardzo rzadko przechodzi obok jednostki lub państwa i niemądry ten, kto wówczas z tej okazji nie skorzysta.

. Niechże Polska raz nareszcie — po tylu wiekach karygodnej bierności i naiwnego idealizmu — wykorzysta dla własnego interesu pomyślną okazję, która jej obecnie wprost sama do rąk lezie!

Wszak od pięciu ostatnich wieków całe dzieje naszego narodu są jednem pasmem niewykorzystanych okazji. Dziwna niechęć do zdecydowanej ingerencji w sprawy sąsiadów, albo co najwięcej i wyjątkowo jakaś interwencja ideowo-bezinteresowna — jak. np. wyprawa wiedeńska, z której naiwny Polak wrócił z pustą chwałą, a gołą kieszenią i której sukces przypisali sobie odrazu Niemcy, a dzisiaj nawet bezczelnie Czesi — ustawiczne kręcenie się w beznadziejnem kółku wewnętrznych konceptów ustrojowych lub spraw geszefciarskich i konwulsyjne, śmieszne, w istocie rzeczy tchórzliwe usprawiedliwianie się przed całym światem, że Polska jest jedynie i wyłącznie „czynnikiem pokoju", wywołują od wieków oczywiście ten tylko praktyczny rezultat, że wszyscy sąsiedzi ostrzą sobie stale na nas zęby, że naród polski wychowuje się w defetyźmie wyłącznej tylko „obrony" i że Polska, mimo poszczególnych zwycięstw orężnych (zawsze tylko obronnych!) i mimo osobistych zdolności różnych mężów stanu... ciągle się pomniejsza!

O tem, że niezbędną, bezdyskusyjną racją stanu każdego żywotnego narodu i państwa jest duch ofenzywy, oczywiście mądrze i celowo kierowany, że państwo, chcąc wogóle istnieć, musi rozwijać się ekspansywnie na wszytkie strony, że dyplomacja i armja nie poto są utrzymywane, aby gnuśniały w metafizycznej defensywie, ale

uzyskiwały dla państwa co się tylko da przyciągnąć i zająć przy zręcznem wykorzystywaniu sprzyjających konjunktur — o tej najprostszej prawdzie nie śni się dotąd Polakowi, a zwłaszcza żadnemu politykowi i żadnemu dziennikarzowi.

Obce agentury — bez żadnej wątpliwości — wykorzystując i ugruntowując to niezdarnie - pokojowe, trwożliwie - defensywne usposobienie Polaków, narzuciły nam od chwili Traktatu Wersalskiego bardzo sprytnie ową niemęską miękkość defensywną, leżącą w planach judaizmu światowego i masonerji, pogrążając naszą mentalność, już i bez tego przez gnuśnych przodków naszych tylko defensywnie nastawioną, jeszcze bardziej w psychosferę „demokratycznej pokojowości". Demokrata ma być takim patrjotą, który ze wszystkich stron bierze po pysku, a mimo to głosi z wieży ratuszowej i trybuny sejmowej, że jest „czynnikiem pokoju".

Psiakrew! Przepraszamy za wyrażenie, ale mamy już dość tego samobójczego niedołęstwa, tego niewolniczego ulegania francuskim, czeskim, moskiewskim, a nawet anglo-amerykańskim obcym agenturom! Dość mamy w historji naszej tych „świetnych zwycięstw" i daremnie przelewanej krwi szarego żołnierza przy tchórzliwie przegrywanych z reguły traktatach pokojowych, fabrykowanych przez doktrynerskich cywilów na wygodnych fotelach w imię jakichś błazeńskich, antypaństwowych reguł „demokratycznych" i ślamazarnie - słowiańskich sentymentalizmów!

Mogła Polska swego czasu zająć bez wojny całe Prusy z Królewcem. Nie zrobiła tego. Mogła potem zająć i zorganizować całą Ukrainę wraz z Krymem. Nie zrobiła tego. Mogła, wykorzystując chaos wojny trzydziestoletniej i niemoc ówczesnych Niemiec, dużo zająć i zagarnąć, a zwłaszcza przynajmniej Pomorze po Szczecin. Nie zrobiła tego, a natomiast wskutek gnuśnego ducha defensywy wolała poddawać się wkrótce potem Szwedom, paktować naiwnie z buntownikami siczowymi i ściągnąć na siebie najazdy wszystkich bez wyjątku sąsiadów. Mogło Królestwo Kongresowe, rozporządzające pierwszorzędną armją, zbić na kwaśne jabłko kolejno wkraczające armje rosyjskie w 1830 r. Nie zrobiło tego, traciło czas na paktowaniu z caratem, dopóki Dybicz wreszcie nie skoncentrował wszystkich swych korpusów dokoła Warszawy, która wówczas dopiero przystąpiła do ulubionego przez Polaków systemu „obrony", pełnego wzniosłych, ale oczywiście już bezskutecznych heldentatów. Mogła wskrzeszona Polska, mając choćby tylko kilkadziesiąt tysięcy żołnierza, zająć Śląsk, Prusy Wschodnie, Litwę i dalekie ziemie kresowe. Nie zrobiła tego, z tępym uporem oparła się znaczna

większość narodu przeciw tworzeniu wojska polskiego na własnej ziemi, rzucając tchórzliwe hasło, że nie należy marnować „kwiatu młodzieży“ — no i w rezultacie narzucono nam plebiscyty, obce agentury, skoncentrowane wówczas w Paryżu, obcięły sromotnie naturalne granice naszej Ojczyzny do połowy obszaru dawnej Rzeczypospolitej, a potem mały narodek czeski uderzył na nas z tyłu i zabrał bezkarnie, co mu się żywnie podobało. No i patrjoci-defetyści, odwieczni wyznawcy „Polski pokojowej“, uznali widocznie, że wszystko jest w porządku i w imię pacyfistycznej doktryny cierpią, że zjadliwe, w istocie i tchórzliwe masony czeskie ośmielają się prześladować i wynaradawiać na zrabowanej ziemi Polaków.

Mogła wreszcie Polska, po zdruzgotaniu armji bolszewickiej, odzyskać należne nam szerokie na wschodzie obszary. I znowu nie zrobiła tego, znowu jacyś cywile-doktrynerzy „demokratyczni“ zmarnowali owoce zwycięstwa w haniebnym traktacie pokojowym w Rydze.

Tak dalej w żaden sposób iść nie może i nie pójdzie. Dzisiejszy ogół polski, mimo wszelkich swych słabych stron i przywar i resztek osłabiających go wpływów doktrynerskiego partyjnictwa, jest jednak na tyle już świadomy kardynalnych błędów swych przodków, że chce zerwać się do wyższego, mocarstwowego lotu, że rozumie już dobrze — świadomie lub podświadomie — iż dalsze kontynuowanie podwórkowego, upokarzającego pacyfizmu jest równoznaczne z pomniejszaniem i ostateczną zgubą Ojczyzny.

Mamy dość tych wszystkich frazesów tchórzliwie — pokojowych, które szerzą niewieścią słabość w eksponowanym na wszystkie strony narodzie i państwie polskim. Rumieniec wstydu czujemy na twarzy ilekroć ktoś z naszych przedstawicieli oficjalnych lub społecznych usprawiedliwia się czołobitnie wobec zachłannych zagraniczników, że Polska niczego nie pragnie, że jest musterkindem, które nawet mrówce na nóżkę nie nastąpi, że jest mazgajskiem państwem sentymentalnej sprawiedliwości i pokoju.

A tragikomika leży w tem, że równocześnie prawią nam o jakiejś mocarstwowości.

I w tym sprzecznym, iście talmudycznym balaganie pojęć chcą kształcić naszą młodzież!

Dość tej tchórzliwej, nielogicznej, absurdalnej zabawy w „pokojową Polskę mocarstwową“! Nareszcie raz winny rządy polskie zrozumieć, że prawdziwa edukacja narodu w kierunku mocarstwowym nie leży na bojaźliwej linji konwulsyjnego utrzymywania status quo,

ale jedynie i wyłącznie w kierunku pchnięcia narodu do celów śmiałej ekspansji.

Tak myślą wszystkie narody na świecie, za jednym jedynym wyjątkiem śmiesznie pacyfistycznej, sentymentalnie-słowiańskiej Polski, której dziwną ambicją jest jakieś mazgajskie cierpiętnictwo i kłanianie się w pas każdemu łobuzowi z zagranicy lub z własnych, bezczelnie czupurnych mniejszości narodowych. A tymczasem mijają kolejno niewyzyskane okazje...

Mamy nareszcie dość tego fotelowego tchórzostwa i niewieściej miękkości — i to tem bardziej, iż wcale nie widzimy i nie czujemy, że ten pacyfizm przynosi nam jakiekolwiek moralne czy materjalne korzyści, że zdolny jest rozwiązać na serjo jakikolwiek z poważnych państwowych problemów. Aż zazdrość chwyta, gdy widzimy, jak to inne narody, prawdziwie żywotne lub odrodzone, idą śmiało naprzód, wzmagając się realnie w potędze, nieraz i terytorjalnie, bez względu na frazesy i wrzaski masońskiej Ligi Narodów, zbolszewiczałej Francji i innych, wyraźnym reżimem światowego judaizmu opanowanych „wielkich demokracji zachodu".

Czego więc żądamy? A no, żądamy ni mniej ni więcej, tylko tego, aby P. Marszałek Śmigły Rydz wykonał Swą obietnicę, wypowiedzianą przed dwoma laty na zamku warszawskim, iż przyjmuje hetmańską buławę nie za to, czego dokonał, ale za to, co dla narodu i honoru armji w przyszłości wykona. Teraz — właśnie teraz — nadszedł właściwy moment historyczny realizacji tej obietnicy. Trzeba siąść na koń, wznieść buławę i rzucić zdecydowaną komendę do... zbrojnej interwencji! *)

Tak jest — nie do wojny, ale do interwencji, która w pierwszym rzędzie zainkorporuje do Polski prastarą naszą ziemię żmudzką, a następnie — nie dziś, to jutro — odbierze zdradzieckim Czechom zrabowany nam Śląsk Cieszyński, zrektyfikuje granicę polsko-słowacką na naszą korzyść i otworzy nam bezpośredni dostęp do zaprzyjaźnionych Węgier. A przy tych interwencjach — bo prawdziwej wojny nikt dziś w Europie nie zaryzykuje — powiedzie nam się może odzyskać i Gdańsk, korzystając z tego, że Drang nach Osten skierował się na południe i że, ogółem biorąc, element i psychika południowo-niemiecka zaczynają z natury rzeczy dominować w zjednoczonem państwie niemieckiem nad krzyżacko-bismarkowską dzikością i butą.

---

*) Wydrukowane 14-go marca.

Oto, czego pragniemy — i więcej: czego się domagamy, czego oczekujemy po naszych czynnikach najbardziej miarodajnych. Czy jest w tem żądaniu owo kodeksem karalnie podżeganie do wojny? Nie — wręcz przeciwnie. Polsce bowiem grożą prędzej czy później zbrojne agresje sąsiadów tylko w tym razie, jeżeli okaże się słabą, mazgajsko-słowiańską i nie wykorzysta zawczasu wszelkich okazji do ekspansji. Odważna, zdecydowana w swych pociągnięciach Polska żadnej wojny obawiać się nie potrzebuje. Rosja wojny nam nie wyda — a zwłaszcza wojny o Kowieńszczyznę — z dobrze wiadomych powodów: wie, że dostałaby tak w skórę, żeby aż w piekle było słychać i że dzisiaj wojna z Polską byłaby w każdym razie końcem jeżeli nie komunizmu, to już co najmniej stalinizmu. Armje francuskie również nie pojawią się na przedpolu Warszawy, ani pod dowództwem Gamelina, ani tem mniej żydka Bluma. Na żadne zdobywcze czy „karne" ekspedycje wojenne lud francuski dzisiaj nie pójdzie. Pancerniki angielskie też nie pojawią się na Wiśle pod Saską Kępą, ani nawet przed Gdynią. Co najwięcej jakiś domorosły Anglik, nie orjentujący się w geografji między Śląskiem (Silezją) a Cylicją, wyrwie się w Izbie Gmin, jak Filip z konopi, z zapytaniem, co rząd myśli o polskim „imperjaliźmie", na co p. Chamberlain odpowie jakąś typową, angielsko-gordyjską formułką. I nic więcej. Będzie wnet cicho, sza w całej Europie.

A tymczasem armja Polska i łożące na nią społeczeństwo będą miały nareszcie satysfakcję, że żołnierz polski nie jest teatralnym manekinem od parad w święta narodowe. A Polska nauczy się być — mocarstwem.

Być może, że przy tem jakiemuś Litwinowi, czy innemu Czechowi wypali fuzja ze strachu i kula świśnie gdzieś w powietrzu. No, ale takie wypadki mogą wywołać gęsią skórkę tylko u różnych cywilów-fotelowców, a zwłaszcza pewnych dziennikarzy, którzy z każdą wiosną, dla sensacji i werbowania czytelników, wydają z reguły wojnę jakiemuś mocarstwu, ale którzy zemdleliby przy swych biurkach ze strachu na sam huk karabinu. Bo, jak mówi stary dowcip żydowski: kula, jak kula, ale huk, panie dobrodzieju!

Są jednak i odważni redaktorzy, nawet tacy, którzy świst kul karabinowych i szrapneli swego czasu dobrze obok siebie czuli i słyszeli. Ci redaktorzy, zamiast czerpać swą mądrość życiową od Pata, winni pójść z własnej inicjatywy naszym przykładem, poprzeć nasze powyższe żądania i pchnąć polską opinię publiczną w tym kierunku.

Ale i zawodowe strachopuchy niech się uspokoją! Wszak to, czego od Polski żądamy, jest właśnie najlepszym sposobem zabezpieczenia jej przed okropnościami prawdziwej wojny i obcego najazdu na długą w każdym razie przyszłość. Kto tego nie rozumie, niech się nie bierze ani do polityki, ani do dziennikarstwa, chyba, że jest — czego o nikim nie chcemy nawet przypuszczać — pod wpływem paraliżujących Polskę obcych agentur.

Rzucając w ten sposób jasno i wyraźnie nasze żądania na arenę opinji publicznej, czekać będziemy realnych rezultatów „polskiej polityki mocarstwowej". Zaznaczamy tylko, że słynne i w danym momencie całkowicie uzasadnione oświadczenie oficjalne, iż „nawet guzika nie oddamy", stanowczo nam dziś już nie wystarcza. Nie wystarcza już także do należytej edukacji narodu. Bo dziś my nie tylko własnego guzika nie oddamy, ale chcemy i musimy różnym sąsiadom dobrze poobrywać zabrane nam ongiś guziki — jeżeli chcemy istnieć nadal bezpiecznie.

W przeciwnym razie wszyscy sąsiedzi z absolutną pewnością do nas się dobiorą. A wówczas „wielkie demokracje zachodu" ani jednym palcem nie ruszą nam z pomocą i zostaniemy znów — mądrymi Polakami po szkodzie!

Naprzód Polsko! Rwij więzy gnuśnego pacyfizmu, w które cię obce moce i reminiscencje długiego okresu niewoli zakuły! Niech wszystko, co żywotne, dzielne i klątwą atawizmu nie zdegenerowane, łączy się w zdrowym porywie zwiększenia Ojczyzny! Niech żąda tego kategorycznie od tych, w których ręce złożył naród komendę! Cały świat przykład nam daje — od Japonji aż po Hiszpanję — że wahać się i skomplikowanie dyplomatyzować nie trzeba, gdy chodzi o wielkość Ojczyzny.

Niech rozważą ci, którzy chcą widocznie naśladować politykę Kazimierza Wielkiego — wielkiego demokraty i gospodarza na tronie — i cały wysiłek kierują do spraw gospodarczych, okupując się dokoła układami i zmuszając naród do znoszenia wszelkich obelg nawet ze strony drobniutkich sąsiadów, że tenże Kazimierz Wielki, ten najbardziej pacyfistyczny budowniczy „Polski murowanej", umiał jednak także dobyć oręża, rozgromić Tatarów i zająć zbrojnie Ruś czerwoną. Nam, Polakom, obiecywany dobrobyt gospodarczy, wizja złotych interesów, zupełnie nie wystarcza. Nam ani Gdynia, ani Centralny Okręg Przemysłowy specjalnie nie imponują, aczkowiek uznajemy oczywiście ich użyteczność i potrzebę. Ale my nie jesteśmy narodem kupców, jak Holendrzy, dawni Ormianie lub

żydzi. Jesteśmy narodem na wskroś wojskowym. Żołnierstwo ma u nas najpiękniejsze karty i stanowi zawsze najszlachetniejszą stronę polskiej psychiki. Żołnierskim też apelem najwięcej można z Polaka wydobyć — nie tylko najwięcej ofiar krwi i wysiłków, ale nawet podatków. Nad budżetem wojskowym żaden podatnik polski nawet nie dyskutuje.

Ale niechże ten podatnik widzi nareszcie, na co właściwie płaci! Niech żołnierz polski przekona się nareszcie, dlaczego musztrowany jest w koszarach i po co dźwiga broń w ręku. Niechże daną mu będzie ta niezbędna satysfakcja czynu zbrojnego na rzecz wielkości Ojczyzny, która dopiero z koszarowego tłumu robi prawdziwą armję! Mylą się kapitalnie ekonomiści i inni cywilni statyści, obiecując nam złote góry w jakimś rajskim, etatystycznym, wiecznym pokoju. Ich marzenia i dążenia, w ten sposób ujęte, ani się nie sprawdzą, ani nam nie imponują.

Nie mogą się sprawdzić w dotychczasowej Polsce kadłubowej, poobcinanej i ogolonej ze wszech stron przez sprytne obce agentury i karygodne kunktatorstwo długiego szeregu naszych mężów stanu. Precz z tą ogoloną Polską kadłubową, tchórzliwie pacyfistyczną według recept endeckich i masońskich — a niech żyje Polska mocarstwowa, wkraczająca śmiało, w odpowiednich momentach, na „obce" tereny!

Czy istotnie na „obce"? Ależ nie — wszak chodzi o nasze rdzenne ziemie, odwiecznie polskie, a tylko perfidnie zabrane nam obcą mocą przy własnej naszej słabości! Bo czyż Żmudź — dziś zwana Litwą Kowieńską — nie była integralną częścią naszej Ojczyzny? Czyż nie ona broniła całej polskiej Ojczyzny najdłużej w Powstaniu Styczniowem? Albo czy Śląsk Cieszyński nie jest ziemią odwiecznie polską? Albo czy z Gdańskiem żadne nie łączą nas tradycje i czy nie masz tam orłów polskich, przed wiekami w kamieniu wykutych? Czy Wisła od źródeł do ujścia nie jest naszą najrdzenniejszą rzeką?

A nadto, czy istnieje dziś na świecie jakikolwiek naród, nawet drugorzędny, któryby nie żądał i nie odebrał tego, co mu się należy, nieraz nawet bardzo hipotetycznie tylko należy? Czy istnieje dziś naród, nawet trzeciorzędny, któryby na świat cały nie podniósł krzyku, nie wystąpił z Ligi Narodów i nie zagroził orężem, gdy mu gdzieś ktoś nawet drobną krzywdę zrobi, daleko mniejszą od tych ciągłych upokorzeń, które „mocarstwowa" Polska ze wszech stron cierpi z niezrozumiałą uległością?

Naprzód Polsko! Przestań nareszcie grać rolę sentymentalnej dziewicy w wieńcu cierniowym. Wdziej pancerz i hełm, przypasz miecz i odbierz co twoje. Taką cię widzieć chcemy!

Naprzód Praso polska! Ty, która tak dumnie zawsze głowę podnosisz, prawisz wciąż o twoim „obowiązku publicystycznym" w drobiazgowych, zmiennych, nic nie znaczących zdarzeniach! Ty, która masz pretensję przewodzenia opinji publicznej! Teraz masz naprawdę szczytną okazję do spełnienia prawdziwego obowiązku publicystycznego, do wykazania się, co umiesz i co jesteś istotnie warta. Rusz z miejsca uniesiona płomiennemi odezwami i pchnij zdecydowanym gestem polską opinję publiczną na tory prawdziwie mocarstwowe! Jeżeli tak zacięcie walczysz zawsze o wolność drukowanego słowa, to nie pytaj nikogo o zdanie, ale wezwij rząd i naród z własnej inicjatywy do czynu.

Nie bójmy się srogiego ołówka cenzora, bo cenzor, któryby skonfiskował apel do tężyzny narodu, w takiej formie i w tych celach ujęty, jakim jest nasz niniejszy, nie byłby chyba po polsku czującym Polakiem!

I jeszcze jedno. Nie o taki czy owaki incydent graniczny nam chodzi, nie o żadną „ekspedycję karną" — ale o to, że Polska mocarstwowa winna wogóle zabrać z powrotem co jej się należy. Winna tem bardziej, że w miarę wzrostu Niemiec musi wzrastać i Polska, jeżeli chce istnieć!

REDAKCJA NASZEJ PRZYSZŁOŚCI.

14-go marca 1938 roku.

UWAGA. Wypadki polityczne toczą się nieraz tak szybko, że wydawnictwo miesięczne nie może im oczywiście tak nadążyć, jak gazeta codzienna. Dlatego też zaopatrzyliśmy powyższy artykuł datą oddania go do druku. Jest to data, w której społeczeństwo polskie poruszone zostało niedawną inkorporacją Austrji do Niemiec oraz wkrótce potem incyndentem granicznym polsko-litewskim, ale kiedy jeszcze żadne zdecydowane kroki z polskiej strony nie nastąpiły. Zresztą jasnem jest z całej tendencji powyższego artykułu, że nietyle chodzi w nim o poszczególne wypadki lub poszczególne pociągnięcia polskiej polityki czy siły zbrojnej, ile przedewszystkiem o zapoczątkowa-

nie zasadniczej zmiany polskiej mentalności z prastarego nastawienia wyłącznie defensywnego na ogólne nastawienie ofensywne w każdej sprawie.

Dlatego artykuł powyższy nie straci w żadnym razie na aktualności, jakkolwiek bądź potoczą się wypadki od chwili oddania tego artykułu do druku do chwili ekspedycji niniejszego numeru Naszej Przyszłości.

W przygotowaniu do wielkich wydarzeń

Nie ulega już dzisiaj wątpliwości, że Traktat Wersalski — chociaż musimy mieć dla niego duży sentyment, gdyż stwierdził ofiacjalnie naszą niepodległość — oceniony będzie przez naukę historji jako jeden z najniepraktyczniejszych, najnieudolniejszych traktatów pokojowych, jakie kiedykolwiek zostały zawarte. Nie zadowolił bowiem nikogo, a przez karygodne swe doktrynerstwo, na którem oparty został z naiwnym lub perfidnym teoretyzmem, stworzył wszędzie, a zwłaszcza na kontynencie Europy, stan niestały, płynny — mnóstwo punktów i powodów nieugaszonego zarzewia.

Stwierdzić należy, że żadna — dosłownie żadna — sprawa, którą traktat ten się zajmuje, nie została dokładnie załatwiona. Wbrew zasadniczym intencjom, które stanowią niby podłoże tego pierwszego na świecie „demokratycznego" traktatu „sprawiedliwości i pokoju", mnóstwo niesprawiedliwości zostało spełnionych i to niesprawiedliwości głupich, a więc politycznie najbłędniejszych. A instytucja pokoju, porozumienia i arbitrażu międzynarodowego, którą traktat ten wysunął na czoło w postaci Ligi Narodów wraz z różnemi jej przybudówkami, stała się takim symbolem i synonimem ironji dziejowej i tak cyniczną pokrywką najgorszych intryg międzypaństwowych, że podobnie niezdarnego i zakłamanego instrumentu stosunków międzynarodowych trudno znaleźć od początku znanych nam dziejów świata.

Zaiste, nie podobna oprzeć się przekonaniu, że Traktat Wersalski wraz z całą swą specyficzną ideologją międzynarodową jest dziełem jakiejś wszechpotężnej międzynarodówki, jakiejś wszechświatowej „agentury", obcej dla wszystkich państw — sygnatarjuszy paktu, a dążącej celowo do wytworzenia na świecie równowagi niestałej, do osłabienia chrześcijańskiego świata, na czem owa moc zła mogłaby wygodnie żerować.

Ale świat współczesny, cywilizowany, świadomy swych żywotnych interesów, nie jest aż tak naiwny, jak się to różnym mafjom wydaje. Niekiedy co prawda dłuższego czasu potrzeba, aby to lub owo państwo, ten lub ów naród, lub kompleks państw czy narodów, nabrały rozumu i wyzwalając się z narzuconej im przez sprytną mafję ideologji, weszły na drogę racjonalnej polityki, dyktowanej własną racją stanu. Ale stopniowo i do tego przychodzi, gdyż świat nie może być wiecznie głupim.

Widzimy więc dziś, prawie w dwadzieścia lat po podpisaniu owego szumnego, niby demokratycznego, a właściwie masońskiego dokumentu w Wersalu, z jego dodatkami w Trianon i St. Germain, jak poszczególne państwa wyłamują się kolejno w ciągu lat ostatnich z pod tego jarzma i zaczynają same między sobą regulować stosunki w sposób bądź co bądź naturalniejszy, bardziej organiczny.

Nie chcemy przez to powiedzieć, aby wszystko to, co poszczególne państwa obecnie czynią, było zgodnem z zasadami etyki i zasługiwało na teoretyczną pochwałę. Ale jest przynajmniej otwartem i szczerem i odpowiada najżywotniejszym ich interesom. Dąży do uproszczenia sytuacji na świecie, do odprężenia stosunków, które nie dałyby się na nieograniczoną metę utrzymać. Niema w tem przynajmniej owego zakłamanego faryzeuszostwa, które w napuszonym stylu bije z każdej stronicy dokumentu Wersalskiego.

Jeżeli np. Japonia zdobywa dziś orężem pewien obszar azjatyckiego kontynentu, jeżeli Włochy zdobyły Abisynję, jeżeli Niemcy łączą się z również niemiecką Austrią przy pomocy pewnego nacisku — to w zasadzie, z punktu widzenia teorji etyki, nie możemy tego wprawdzie pochwalać, niemniej jednak z historyczno-politycznego punktu widzenia przyznać musimy, że nie są to jakieś bezmyślnie rabunkowe podboje, wzorowane na przykładach starodawnych najazdów, lecz dobrze przemyślane pociągnięcia polityczne, leżące w naturze danych stosunków i niezbędne dla egzystencji danych, żywotnych narodów i ustrojów państwowych. Wszak ani Włochy, ani Japonia nie poświęcałyby olbrzymich kosztów i życia wielu tysięcy swych żołnierzy, gdyby nie było to absolutnie koniecznem dla nich, nie tylko z politycznego, ale również i ze społeczno-gospodarczego punktu widzenia.

Tak — ale jeżeli robią to wszyscy, na całym świecie, obierając odpowiednie do tego momenty — o ile poprzednio nie zostali już w ekspansji swej nasyceni lub przesyceni, jak np. An-

glja — to dlaczego Polska miałaby znowu pozostać w tyle? Dlaczego ona jedna miałaby pozostawać pod narkozą zewnętrznie pobożnych, a w istocie faryzeuszowskich doktryn pacyfistycznych i pseudosprawiedliwościowych, zastrzykiwanych po świecie przez obce agentury celem paraliżowania zdrowego rozwoju żywotnych państw i narodów i utrzymywania ich pod łapą rozkładowych międzynarodówek? Dlaczego wolno brać i rozwijać się innym, a Polska miałaby dziecinną ambicję trwożliwego wykazywania się swą wzorową grzecznością, jak żaczek przed surowym nauczycielem?

Dlaczego inni mogą chwytać, co im potrzeba i robić, co im się żywnie podoba, odprawiają z ironicznym gestem wszelkie kiwania palcem w bucie międzynarodowych konferencji, a jedna Polska ma trzymać się w trwożliwej defenzywie wobec każdego, nawet zakłamanego zarzutu o „imperjalizm", ciskanego w nią czy to z areny genewskiego Sanhedrynu, czy nawet niekiedy ze strony jakichś mniejszościowców lub „demokratycznych" teoretyków-zapaleńców we własnym Sejmie?

Porównajmy przykładowo dwa fakty, jeden obcy, drugi swojski.

Wyruszyła Italja na podbój jakiegoś egzotycznego obszaru w Afryce. Krzyk, wrzask, pisk w Lidze Narodów, ba, nawet groźna demonstracja floty angielskiej na Morzu Śródziemnem, nawet jakiś chwilowy bojkot geszefciarski, narzucony Lidze Narodów przez międzynarodową finansjerę — no i co? Wrzask umilkł. Angjla została Anglją, Włochy zdobyły Abisynję, Negus sprzedał swą kawę w Londynie i wszystko wróciło do porządku.

Ale niech ino jakiś polski policjant chwyci za kark i zaprowadzi do kozy awanturującego się bezczelnie Żydka, czy Ukraińca, czy spiskującego wyraźnie na oderwanie Wilna od Polski Litwina, to cały świat rozbrzmiewa groźnem echem „imperjalizmu" polskiego, a Polska — starodawnym przodków obyczajem — usprawiedliwia się na wszystkie strony, że ona przecież bynajmniej nie to, nie tamto, nie owo i t. d., i t. d.

Temu trzeba raz nareszcie położyć koniec. Trzeba raz nareszcie wyjść z trwożliwego „kompleksu niższości" i staroszlacheckiej defenzywy. Trzeba przejść na mentalność i platformę ofenzywy — ataku. Trzeba czegoś zacząć chcieć i pożądać i śmiało rozpierać się łokciami.

Żadna wojna z tego nie wybuchnie. To obce agentury straszą nas ciągle jej widmem, aby sparaliżować naturalny,

zdrowy rozwój i rozmach Polski. Wojnę ściąga na siebie tylko słabeusz, w którym łatwy łup upatrują sąsiedzi. Naturalny natomiast, zdrowy duch ekspansywny narodu, znającego sztukę przygotowywania i zręcznego wykorzystywania dobrych okazji, wojny napewno nie ściągnie... Chyba tylko, gdyby porywał się na rzeczy niemożliwe, albo drażnił świat cały pychą i szczękiem oręża, jak to czyniły przedwojenne Niemcy.

I dlatego pragnęlibyśmy wyrwać z mózgów polskich tchórzliwe, defetystyczne, a w perspektywie na dalszą metę niebezpieczne w naszem położeniu pojęcie „obrony", a zastąpić je natomiast pojęciem i mentalnością „ofenzywy".

I to nie zaraz w znaczeniu nałożenia bagnetu na karabin, ale w znaczeniu ofenzywnego ducha i nastawienia w każdym kierunku i w każdej dziedzinie. A więc rozmach w polityce zagranicznej, w wewnętrznej normalizacji stosunków, w przedsiębiorczości gospodarczej, w sprawach społecznych, rozwiązywanych w czysto polski sposób, według naszych rodzimych potrzeb i stosunków, z wyrzuceniem za drzwi wszelkich zagranicznych doktryn i podszeptów obcych agentur.

Takim chcielibyśmy widzieć naród polski. A ludzie miękkiego mózgu, marzyciele demokraci, rzewni słowiańscy teoretycy oraz posłuszne narzędzia partyjno-polityczne obcych agentur niech zostaną w tyle razem ze swymi wątpliwościami, hasłami i podwórzowym horyzontem. Do lamusa z tem rupieciem! Włosi nie wystraszyli się najpotężniejszych pancerników angielskich i „wszechświatowej" dezaprobaty — a my mielibyśmy w bez porównania skromniejszych pociągnięciach obawiać się pisku paru fotelowych lub wiecowych gadaczy, którzy gęsiej skórki dostają na myśl, że Polska mogłaby odstąpić o włos od naiwnych ideałów „sprawiedliwości demokratycznej" lub dostać burę za swój „imperjalizm" od dyplomatycznego przedstawiciela Costariki lub Guatemali!

Jak w przyrodzie, tak i w życiu narodów nie masz nigdy status quo, lecz tylko albo rozwój, albo kurczenie się i zanik. Naród, który w imię jakiegoś teoretycznego pacyfizmu wmawia w siebie, że jego byt w danych granicach i w danym stanie rzeczy winien być tylko podtrzymywany i broniony na wieki wieków, nie tylko nie utrzyma się i nie obroni na dalszą metę, ale spotka go niechybnie los dzisiejszych Chin lub choćby dawnej Polski, która też swój „złoty" stan rzeczy utrzymywać chciała, tracąc właśnie przez to jedną prowincję po drugiej.

My, Polacy, na tę ultra-pacyfistyczną mentalność, na odgrywanie roli wzorowego dziecka wśród innych, zachłannych społeczeństw żadną miarą pozwolić sobie nie możemy, choćby nam z tem chwilowo było najwygodniej. My musimy iść wciąż naprzód, musimy się rozpierać, nie bacząc na żadne ślamazarne hasła i frazesy, musimy gotować się zawsze i wszędzie do lwiego skoku i w danym momencie skok ten z precyzją i siłą wykonać. Musimy tak się nastawić właśnie dlatego, żeby nie dać się przez innych zaskoczyć i ponieważ dyktuje nam to nasze, niemal na wszystkie strony otwarte położenie geograficzne.

Gdy zaś nadto widzimy, jak inne państwa przygotowują sobie konsekwentnie w ciągu lat owoce swych pożądań, które im w końcu, przy odpowiednich okazjach do rąk wpadają, to byłoby to już naprawdę dowodem naszej niezdolności życiowej, gdybyśmy tego pozytywnego, skutecznego nie chcieli przynajmniej naśladować przykładu.

Zwłaszcza, gdy jesteśmy świadkami, że takie pociągnięcia, byle tylko dobrze przygotowane i we właściwym momencie z decyzją przeprowadzone, dodatnie dają wyniki.

Przed naszemi oczyma następuje Anschluss Austrji do Niemiec. Ileż trudu, czasu i dyplomacji musiały zużyć Niemcy, aby tego wreszcie dokonać. Czy nam ta praca i ten ostateczny jej rezultat niczego nie nasuwa, co najżywotniej winno nas obchodzić? Czy inkorporacja Austrji do Niemiec, nie narzuca nam kategorycznego imperatywu, ze wszech miar Polsce wskazanego i niezbędnego: okupacji i przyłączenia naszej prastarej dzielnicy Żmudzkiej, odseparowanej od Polski od niedawna pod obcym, wrogim wpływem? Czy nie czas wziąć na serjo pod uwagę inkorporację Litwy kowieńskiej?

Nie należy oczywiście wyobrażać sobie, ani proponować podobnej sprawy w postaci jakiejś awanturniczej imprezy. Cel taki musi być odpowiednio zaplanowany i przybrać charakter konstruktywnej akcji, podjętej przez różne sfery polskiego narodu, zmierzającej do stopniowej, coraz większej aktualizacji tego zadania i wreszcie sfinalizowania go w takim momencie i takim sposobem, jakie w danych warunkach okażą się dojrzałe i wykonalne bez większych wstrząsów.

Ale inne jeszcze, doniosłe zadania stoją przed Polską w niedalekiej zapewne przyszłości.

Już w poprzednim numerze naszego wydawnictwa zanotowaliśmy fakt, że nienaruszalność obecnych, bardzo sztucznych,

niesprawiedliwych, a dla sąsiadów wielce niebezpiecznych granic państwa czeskiego przestaje być dyplomatycznym dogmatem. Wielkie demokracje zachodnie, schwytane w kłopotliwe sidła własnego, bezkrytycznego, a niezmiernie egoistycznego doktrynerstwa, które w ostatecznym rezultacie po prawie dwóch dziesiątkach lat ułatwiło tylko ekspansję komunizmu, mają już coś bliższego dla siebie do roboty, niż czuwanie nad nienaruszalnością tego prawdziwego zlepku sprytnej ongiś masońskiej polityki wersalskiej, jakim jest „Czechosłowacja". Z drugiej strony nie ulega żadnej wątpliwości, że Niemcy dążą coraz wyraźniej na południe, zdając sobie sprawę, że bez jakiegoś porozumienia z Polską — która w oczach Niemców dawno już przestała być państwem „sezonowem" — jakiekolwiek ich plany dążenia na wschód są niewykonalne.

Dążą więc na południe. A w ten sposób miła brać czeska, obciążona nawet na rdzennej swej ziemi trzema miljonami Niemców, dostaje się w kleszcze polsko-niemieckie. Tymczasem nastąpiła również wizyta Regenta Węgier w Krakowie, Warszawie i Białowieży....

Wszyscy trzej sąsiedzi „Czechosłowacji" mają z nią porachunki. Nie ulega kwestji, że rzucone raz naturalne hasło złączenia się wszystkich Niemców musi prędzej czy później dojść do skutku. A ponieważ jest to hasło bądź co bądź słuszne — my Polacy winniśmy pierwsi to uznać po własnych doświadczeniach — więc nikt z pewnością nie dobędzie oręża, aby Niemcom czeskim przeszkodzić w stopniowem połączeniu się z macierzą. Ale jeżeli przy tej operacji Polska ma znowu być bierną, jak to w dawnych czasach niestety bywało i nie wykorzystać pomyślnej sytuacji, aby na spółkę z wielce pokrzywdzonemi Węgrami odebrać na Czechach swoje, to złoży tylko dowód, że do mocarstwowej polityki chyba nie dorosła. Jeżeli wzrosną w ten sposób Niemcy, to musi wzróść także Polska i dobrze zarobić przy tym „interesie". W przeciwnym razie naraziłaby się na ironiczny uśmiech całego świata i sprawdziłoby się na nas bardzo niemiłe, ale swego czasu (w rozprzężeniu epoki saskiej) niestety może i nieco do prawdy zbliżone twierdzenie osławionego judaisty Franka, żeśmy „narodem poczciwym, a głupim". Psychika narodu polskiego zakostniała niebezpiecznie w staroszlacheckiej, arcywygodnej a zgubnej zasadzie „nieinterwencji" we fluktuacjach losów swych sąsiadów, a przecież właśnie metoda interwencji stanowi zasadniczą podstawę i warunek rozwoju państw żywotnych.

Mimo więc wszelkich krzyków zranionego gołębia, wypuszczanych przez naszych trwożliwych pacyfistów i bezkrytycznych zwolenników nabożnej idei neutralności czy nawet „szwajcaryzacji“ Polski, co wobec otwartych granic naszych jest oczywistym absurdem, musimy — czy chcemy, czy nie chcemy — nastawić się na politykę śmiałych a zręcznych interwencji przy każdej pomyślnej, a dobrze przygotowanej sposobności. Równocześnie z tem, czerpiąc naukę z historji i zdając sobie dokładnie sprawę z naszej sytuacji geograficznej, politycznej i t. zw. mniejszościowej, winniśmy wbić sobie dobrze w mózgi, że wszelkie sielanki słowiańskie są dla nas dziecinną, a wielce niebezpieczną zabawką, a że natomiast dopomożenie Węgrom do odbudowy w granicach możliwości, wzmocnienie ich i uzyskanie z niemi jak najszerszej wspólnej granicy — a w przyszłości może i pewne sprzężenie się z niemi jakąś wspólnotą jest jednym z podstawowych postulatów polskiej racji stanu i rzec można wprost: egzystencji.

Dlaczego nawet nie unja? Słyszę znowu okrzyki zranionego gołębia. Ale nie zapominajmy, że Węgry dały nam dwóch największych monarchów: Jadwigę i Batorego. A jeżeli panowie krakowscy przeszło pół tysiąca lat temu uznali za słuszne przeprowadzić unję Polski z „dzikim“ narodem litewskim, który do niedawna przedtem urządzał na Polskę łupieżcze wyprawy i nie zawahali się zaprosić na tron krakowski poganina Jagiełłę — wiadomo z jak potężnym wkrótce rezultatem — to dlaczego nie mielibyśmy dzisiaj wznieść się na podobnie wysoki poziom dalekosiężnej myśli politycznej i nie postawić sobie za cel unji z Węgrami, z któremi od wieków tyle nas łączy i które przecież chyba nieskończenie wyżej stoją i bliższe nam są, niż pięćset kilkadziesiąt lat temu pogańska Litwa Polsce?

A teraz — ale dopiero gdy to wszystko w umysłach naszych się utwierdzi i nastawienie polskiego narodu zwróci się z odpowiednią prężnością i przygotowaniem na wymienione powyżej kolejno ewentualności, możemy zwrócić się myślą na wschód.

W tym kierunku specjalne stoi przed Polską zadanie. Bezpośredni nawrót do polityki jagiellońskiej i naprawienie tego wszystkiego, co zamierzali królowie nasi i niektórzy mężowie stanu aż po czasy Władysława IV-go, a co niezdarna, bezmyślna lub warcholska ręka naszych przodków wypaczyła i potargała. Chodzi o planową restytucję Rusi, z nami szeregiem węzłów sprzężonej, przez którą wpływ i handel polski mogłyby oprzeć

się silnie o Morze Czarne. Ale musi to być oczywiście tylko Ruś bezwzględnie nam przychylna, prawdziwie bratnia, z wyplenionem doszczętnie hajdamactwem, gdyż dopóki ono w umysłach ruskich grasuje, to o żadnem państwie ruskiem mowy być nie może i nie będzie.

Konieczność wskrzeszenia Rusi jest dla nas, z pod znaku tego wydawnictwa, politycznym i gospodarczym dogmatem. Ale jak ongiś warcholska, łupieżcza Litwa mogła się z Polską sprzymierzyć dopiero pod warunkiem zrzucenia pogaństwa, tak i Ruś może stać się dla Polski niezmiernie cennym kontrahentem dopiero pod warunkiem zrzucenia z siebie niemniej łupieżczego jarzma tradycji siczowo-ukraińskiej. W przeciwnym razie, mimo wszelkich zewnętrznych przejawów antyrosyjskiego nastawienia, będzie Rusin - Ukrainiec zawsze bezmyślnym wrogiem Polski i niemniej bezmyślnym łupem moskiewskiej polityki.

Taki to już los siczowego ukrainizmu, stwierdzony aż nadto dobitnie dziejami szeregu wieków.

Ale stopniowa, planowa, dobrze zawczasu przygotowana i oczywiście kolejna realizacja całego tego programu — a bez dalekosiężnego programu nie uznajemy celowości jakiejkolwiek aktualistycznej polityki narodowej — wymaga imperatywnie jednego, kardynalnego warunku: Polska z całym swym wewnętrznym ustrojem, tężyzną i nastawieniem, musi stanowić rzeczywistą atrakcję dla wszystkich ludów, które w taki czy inny sposób mają wejść w orbitę jej planowej akcji. Bez tego żaden cel nie da się osiągnąć.

Znaczy to, że w nastroju i w polityce skończyć się muszą raz na zawsze wszelkie doktrynerskie, niby „demokratyczne“, niby postępowe, a w gruncie rzeczy naiwne i niezmiernie szkodliwe eksperymenty, oparte li tylko na niszczącej demagogji i na małpiem naśladownictwie wszelkich proletaryzujących przykładów, chwytanych przez nasze partje polityczne łapczywie zagranicą. Wiemy już dzisiaj doskonale, że wszystkie te wzory niepotrzebnego, a szkodliwego gwałtu i przymusu ze strony demagogji partyjnej i zachłannego etatyzmu, wywieranego na nieszczęsnej jednostce zubożałej, zmasakrowanej, której doktrynerska demagogja i etatyzm wszelką energją, wszelką radość życia paraliżują, są bezwzględnie owocem działalności obcych agentur, które bezpośrednio lub pośrednio wytężają wszystkie siły, wszelką zwłaszcza perfidną pseudo-patrjotyczną i pseudo-demokratyczną argumentację, aby tylko niedopuścić do politycznego i gospodarczego rozwoju Polski. Ale nie pod adresem lóż ma-

sońskich trzeba szukać obcych agentur — bo to są śmieszne rzeczy dla każdego, kto ma choć jakie takie pojęcie o właściwych metodach działania mocy zakonspirowanych — a natomiast w naszem ustawodawstwie, etatyźmie, biurokratyźmie, fiskaliźmie oraz całym tym błazeńskim steku niby niewzruszalnych i uświęconych haseł i „zdobyczy", które nam różnobarwne partyjnictwo i usłużna mu prasa od lat narzuciły.

Dopóki to wszystko u nas istnieje, kładąc nieprzekraczalną tamę rozwojowi państwa i narodu polskiego, dopóki nieświadomi agenci wrogich mocy z tępym bełkotem te różne, samobójcze frazesy u nas głoszą, dopóki nie zmądrzejemy na tyle, żeby wyrwać się z narkozy hasła, iż Polska ma być etatystyczno - proletarjacką, a Polak nie powinien zarabiać, gdyż to sprzeciwia się jakoby zasadom „demokracji" — co jest oczywiście zgoła nieprawdą i wręcz odwróceniem prawdziwej zasady demokratycznej — tak długo stosunki nasze nie zaimponują nikomu, nie stworzą dla nikogo atrakcji, a stanowić będą wieczną przeszkodę dla każdego szerszego, konsekwentnego programu. Oczywiście, że ustrój polski może być w XX-tym wieku tylko demokratycznym. O żadnych przywilejach stanowych, nierównościach klasowych, czy krzywdzie ludu mowy być nie może. Ale niechże to będzie demokracja prawdziwa i uczciwa, podnosząca każdego do góry moralnie i materjalnie, a nie pseudo-demokracja, we wszystkich swych tezach i pociągnięciach zakłamana, obcym agenturom w najgłębszych podstawach poddana, która zgniata obywatela do poziomu proletarjatu i z reguły zaczyna się od demagogicznych frazesów, a kończy na takim czy innym totaliźmie, gorszym nieraz od absolutnej monarchji.

Niech więc prawią politycy co im się podoba, niech nas zasypują górami wzniosłych frazesów, niech próbują rozdmuchiwać w nas sztucznie jakiś dziwny amalgamat patrjotyczno-proletarjacki, fabrykowany na zasadzie pustej kieszeni, my prawdę mówimy ludziom, na którą każdy w głębi duszy zgodzić się musi — że Polska wtedy będzie dopiero mocarstwową, gdy wszyscy, swoi i obcy, się przekonają, że można w niej zarabiać i to dobrze zarabiać. Patrjotyzm żebraczy nie jest prawdziwym patrjotyzmem i nie jest zgodny z ideą prawdziwej demokracji, ale jest wymysłem obcych agentur, żerujących na naiwności, sentymentaliźmie i łatwowierności Polaków.

Fiskalizm ustąpić musi. Czy państwo na tem straci? Nie tylko nie straci, ale potężnie zyska. Bo prężność polityczno-gospodarcza narodu, zwolniona z nadmiernej troski o chleb co-

dzienny, zwracając się ku wyżej nakreślonym, ekspansywnym celom, otworzy dla polskiej wytwórczości, przedsiębiorczości, handlu i finansów daleko szersze horyzonty i możliwości, niż dotychczasowe, beznadziejne kręcenie się w kółko w nader szczupłych niestety ramach naszego podwórka. A w naturalnym rezultacie wzrosną świadczenia dla państwa, ale wzrosną proporcjonalnie do zwiększającego się dobrobytu, nie rujnując prywatnej substancji i warsztatów pracy.

W ten sposób szerszy, śmiały, zdecydowany program ewentualnej ekspansji politycznej — którego wstydzić się nie trzeba — poda rękę życiu gospodarczemu i wówczas zacznie się stopniowo realizować naprawdę to, co dzisiaj jest tylko pustym i mglistym dźwiękiem w ustach różnych polityków, odległym o sto mil od ciężkiej rzeczywistości.

A nakoniec jedno pytanie — bo znów słyszymy krzyki zranionego gołębia: czy taki program, wychodzący na zewnątrz z nastawienia całego narodu, jako jego gorące, żywiołowe pragnienie i pożądanie, sprowadzi na nas wojny? Nic podobnego! Wojny prawdziwej o te cele, w odpowiednich realizowane warunkach, z całą pewnością nie będzie. Widmo okopów strzeleckich i chmur samolotów niech nas przeto nie trwoży. Będą tylko nasze „interwencje". A tych nie wolno nam się obawiać i do tej ewentualności winniśmy z suwerennym spokojem zbroić się i sposobić. A tymczasem robić gruntowny porządek w naszym domu, aby mógł stanowić w oczach wszystkich atrakcję dla programu Polski mocarstwowej.

Sekcja dla spraw zagranicznych
Zw. Polskiej Myśli Państwowej.

W i e l k a   R y s a

Mimo wielu analogji, jakie wykazują między sobą nowoczesne państwa, czy społeczeństwa w dziedzinie podziału na przekonania polityczne lub klasowe, mimo światowej wspólnoty w zakresie pewnych wielkich doktryn czy idei, istnieją jednak w każdem państwie, w każdym zwłaszcza narodzie specjalne pod tym względem stosunki, których nie można i nie wolno porównywać z układem stosunków i poglądów w innych narodach bez popełnienia ciężkiego błędu. Wszak wiadomo, że wyrazy np. konserwatyzm, demokracja, radykalizm i t. p. mają w różnych krajach różne znaczenie.

W Polsce wykształciły się również pewne, specyficzne dla naszego narodu stosunki w dziedzinie podziału przekonań, jako produkt naszych wewnętrznych zmagań dziejowych. Rzecz jasna, że nie masz pod tym względem dosłownej analogji z obcymi warunkami.

W kraju o bardzo wczesnym ustroju demokratycznym — rzec można anarchicznie - demokratycznym, co weszło nawet już od wieków w niezbyt pochlebne u obcych dla nas przysłowie — w kraju o kulturze ogółem biorąc ekstensywnej, gdzie więc wszystko traktowane być mogło z wielkim, swobodnym, ale i powierzchownym rozmachem, różnice przekonań politycznych oraz zmagania międzywarstwowe nie były i nie mogły być nigdy zbyt głębokie. Zwłaszcza cały obecny podział społeczeństwa polskiego na partje polityczne, lub klasowo-polityczne, aczkolwiek nieraz namiętnie się zwalczające, jest właściwie dość powierzchowny. Jak na wzburzonem morzu wśród niebotycznie spiętrzonych bałwanów (honny soit qui mal y pence), gdy zanurzyć się na kilka zaledwie metrów pod powierzchnię, napotka się ciszę — tak i wszelkie nasze organizacje i zmagania partyjno-polityczne, choć groźnie wyglądające w gazetach i na wiecach, a zwłaszcza w ustach ambitnych przywódców-karjerowiczów, są właściwie tylko powierzchownem wzburzeniem fal,

czysto konjunkturalnem, zbyt często efemerycznem, pod którem spoczywa dość bierna politycznie znaczna większość narodu. Stąd też nie trudno zbadać u nas i sprawdzić, że różnice partyjno-politycznych „przekonań" są wśród ogółu Polaków w rzeczywistości bardzo płytkie i odnoszą się raczej do różnych bezkrytycznych kultów personalnych lub do chwilowego podniecenia wyborczego, niż do istotnych, rzeczowych, głębszych rozbieżności zapatrywań na ważne państwowe lub społeczne problemy.

Nie masz u nas — poza cienką warstewką rozcietrzewionych polityków i publicystów, a zwłaszcza wiecznie głodnych kandydatów na mandaty poselskie — ani głębokiej nienawiści klasowej, jaka panuje w wielu innych krajach, ani ogół polski nie traktuje zbyt na serjo swej przynależności do takiej czy innej partji. Panowie prezesi, sekretarze generalni i skarbnicy każdej polskiej partji politycznej nie mogą zaprzeczyć słuszności niniejszego twierdzenia..... o ile zechcą odezwać się szczerze, z ręką na sercu.

Wszak u nas np. patentowany konserwatysta pierwszy godzi się na reformę rolną i uczenie uzasadnia konieczność najbardziej zwarjowanych eksperymentów radykalnych, chełpiąc się swoją postępowością. Socjalista polski, który na wiecach grzmi na burżujów i ostrzy językiem na nich noże, ochłonąwszy po zebraniu, idzie spokojnie do kościoła. Radykalnie nastawiony chłop, który z okrzykiem powtarza w gorączce wieców wyborczych hasła wywłaszczenia wszyskich ze wszystkiego za echem ognistego przemówienia p. posła lub kandydata na posła, jest w istocie najskromniejszym konserwatystą, który za odebranie mu prawa własności nad sztuką bydła gotów jest rozprawić się kłonnicą z każdym postępowcem. A robotnik polski żąda tylko pracy i dobrego zarobku i sarka na głupie ustawy, zabraniające mu dowoli pracować i zarabiać, a jeżeli należy raz do jakiejś partji chrześcijańskiej, potem znów na odmianę do socjalistów, czy nawet komunistów, to z niezmiernie rzadkim wyjątkiem czyni to tylko dlatego, że z tej lub owej partji spodziewa się realizacji swych prostych, naturalnych postulatów.

Takie to więc jest to nasze polskie społeczeństwo. Postęp chce robić konserwa, a radykalizm wymierzony jest cały w gruncie rzeczy na rozszerzenie, pogłębienie i zakonserwowanie prawa własności.

Poza tem są różne konjunkturalne mody i niemniej konjunturalne zakłamania. A więc nagle, ni stąd ni zowąd, gwałtow-

na fala ultra-nacjonalizmu i czupurnego antysemityzmu, której poddają się wszyscy, nawet neofici. To znowu radykalna w gruncie rzeczy, religijnie całkiem obojętna, a tu i ówdzie nawet dobrze masonerją podszyta endecja składa pobożnie dłonie, wznosi wzrok ku niebu, zapełnia kościoły i instytucje katolickie i wygłasza z patosem frazesy t. zw. „bógojczyźniackie", którymi łowi, jak na wędkę, naiwne dusze, a zwłaszcza głosy wyborcze. A obok tego cały ten współczesny ruch „sanacyjny", któremu nie brak w prawdzie dobrych chęci i wielu trafnych haseł i też programowych, ale który znajduje się jeszcze w takim stanie kłębowiska i najróżnorodniejszych, najsprzeczniejszych odruchów, eksperymentów, kierunków i wypadków, że — przepraszam za szczerość — sam djabeł nawet nie jest w stanie wyznać się w tem wszystkiem, jaki ma się z tego wyłonić ostatecznie generalny kierunek i do jakiego ustroju Polski to wszystko właściwie zmierza?

Oto owe burzliwe, a powierzchowne flukta. Na tej podstawie, pod tem wrażeniem, nie podobna ustalić jakiejś rzeczywistej, głębiej sięgającej rysy przekonań w polskim narodzie.

A jednak rysa ta jest, istnieje od szeregu wieków i rozszerzyła się obecnie już do rozmiarów nieprzekraczalnej na razie przepaści. A pęknięcie to przecina społeczeństwo polskie na wskroś, bez względu na powierzchowne i zmienne kordony granic partyjnych.

Jak znaleźć tę rysę, tę istotną przepaść w mentalności, która czyni z nas faktycznie dwa narody i to tak dalece, że łatwiej nieraz porozumieć się Polakom po obu stronach tej wielkiej rysy nawet z kimś obcym, niż między sobą. Przykład doraźny, pierwszy z brzegu: jeden Polak szczerzej i serdeczniej będzie mówił z Węgrem, drugi z Czechem, niż obaj między sobą. I stąd pochodzi ta nieszczęsna przywara Polaków wygadywania na własny kraj wobec obcych.

Skąd powstała ta rysa i jak ją znaleźć? To już szanowni panowie aktualiści, politycy „realni", wyznawcy skonkretyzowanego na każdy dzień, konjunkturalnego kalejdoskopu muszą wybaczyć, iż zaproszę ich do samolotu, skąd będzie można spojrzeć z wysoka na nasze stosunki i zarazem w odległą dal kilkowiekowej przeszłości.

Działo się to w kulminacyjnym punkcie zewnętrznego blasku złotego wieku epoki jagiellońskiej. Polska wraz ze swymi lennymi krajami, była chwilowo bodajże najpotężniejszem mo-

carstwem w Europie. Rozgromiła Krzyżaków, oparła się bezpośrednio o Bałtyk, a pośrednio o Morze Czarne, obsadziła dynastją swą trony czeski i węgierski, zhołdowała Prusy i Wołoszę, a na wschód sięgnęła tak daleko, że Dniepr w całym swym biegu stał się rzeką wewnętrznie polską.

Zebrać za jednym apelem stopięćdziesiąt tysięcy wojska na jakąś zamierzoną wyprawę — na co nie mogło było sobie pozwolić, za jedynym wyjątkiem Francji, żadne z ówczesnych państw europejskich — nie było niczem nadzwyczajnem dla tak potężnego mocarstwa.

Tylko, że wojsko, zebrane na wojnę kokoszą, nie było żadnem wojskiem, bo ani słuchać rozkazu, ani wogóle bić się nie chciało. I jeszcze przed tem uciążliwą wojnę z Zakonem wygrała Polska już nie tyle własnem wojskiem, rodzimem, ile głównie resztkami bogatego ongiś skarbu i zwerbowanem za pieniądze wojskiem zaciężnem.

Skarb stanął pustką, aktywność bojowa rycerstwa polskiego upadła po wysiłku grunwaldzkim, rozpoczęła się epoka niepłacenia podatków, potem sejmikowania — jako pierwsze zwiastuny anarchji i upadku. Literatura, sztuka i poniekąd dyplomacja świeciły jeszcze „wiekiem złotym", pod którym już jednak powstawała próżnia, zgnilizna i pierwsze objawy anarchji „złotej wolności".

Ale gdy cały naród zaczął się zwolna pogrążać w tej otchłani, na której dnie czekały go po paru wiekach nieuchronne w takich warunkach rozbiory, to mniej więcej równocześnie — jakiemś zbawiennem prawem reakcji — zaczęła kiełkować w nielicznych z początku, bardzo światłych umysłach, wielka myśl NAPRAWY.

Przybyła do Polski młoda, piękna, energiczna królowa — Bona. Przybyła z kraju o wysokiej cywilizacji, pełna najlepszych chęci i zorjentowawszy się w tem wszystkiem, co się w Polsce złego dziać zaczęło, rozpoczęła sama i przez swego niedołężnego niestety małżonka Zygmunta I-go (słusznie potem przezwanego „starym") dzieło Naprawy Rzeczypospolitej.

Tej to królowej, tak krzywdząco potem przez rosnącą w kraju anarchję oszkalowanej, zawdzięcza ówczesna Polska w ostatecznym rezultacie pierwsze wojsko stałe, zawodowe, racjonalne obrócenie dochodów z olbrzymich dóbr królewskich na wydatki państwowe oraz usiłowania przeciw ustaleniu się idei wolnej elekcji — czyli wielkiego później szantażu kandydatów do korony przez klikę możnowładców i hassę szlachecką — za

pomocą stabilizacji dynastji, czego rezultatem było ogłoszenie królem-następcą młodziutkiego Zygmunta Augusta jeszcze za życia jego ojca.

Zbuntowała się przeciw tym doniosłym, jedynie zbawczym usiłowaniom anarchja potężniejącego już wówczas szybko możnowładztwa i szlachtowładztwa i napiętnowała królowę na długie wieki, aż po dzień dzisiejszy, perfidnie legendą wroga Polski, ba, nawet trucicielki. Naiwna poezja — jakże często u nas bezkrytyczna i tromtadracka — rozniosła tę legendę w zakłamanych dramatach, idealizując mizerną postać Barbary Radziwiłłówny, a poniżając Bonę i z nią razem rozpoczęte dzieło Naprawy.

Równocześnie zjawia się postać Stańczyka. Czyż nie jest to gryzącą ironją dziejów skazanego na upadek narodu, że nie kanclerz, nie senat, nie rządzący ogół szlacheckiego społeczeństwa, ale błazen usiłował natchnąć króla i współczesnych refleksją, opamiętaniem, duchem naprawy?! Ale tak było. Kaduceusz błazeński stał się dla narodu polskiego jakgdyby buławą, daleko potężniejszą od wszystkich buław hetmańskich. Bo chwilowe zycięstwa tych buław nie zdołały uratować Polski przed katastrofą, a kaduczeusz Stańczyka po dziś dzień nie stracił na wartości, przeciwnie: coraz większego nabiera znaczenia jako błyszczący drogowskaz zdrowej, krytycznej polskiej myśli państwowej.

Mniej więcej równocześnie konieczność naprawy ustroju państwowego stanęła przed oczyma kilku wybitnych pisarzy, których dzieła przedłużyły złoty wiek polskiej literatury aż po pierwsze czasy Wazów. Pisarze ci, ogółem biorąc, stworzyli swemi dziełami pierwszą w Polsce szkołę krytyczno-polityczną, jeżeli można użyć tu tego wyrażenia. Andrzej Frycz Modrzewski, Górnicki, Orzechowski, Skarga i inni złożyli się razem na stworzenie tej pierwszej w dziejach naszych szkoły „Naprawy Rzeczypospolitej", przeciwstawiając się krytycznie i odważnie całemu społeczeństwu i przepowiadając proroczym duchem — który zwłaszcza u Skargi tak potężnie się przejawia — nieuchronny upadek pozornie potężnego jeszcze państwa, gdyby panoszące się wówczas stosunki, anarchja, nadużycie pojęć demokratycznej równości szlacheckiej i zgubna teorja bezkresnej swobody indywidualnej miały pogłębić się i zawładnąć zarówno ustrojem państwa, jak i nastrojem umysłów.

Przeciw temu — niestety zawsze szczupłemu co do ilości wyznawców — odruchowi Naprawy Rzeczypospolitej stanęła oko-

niem, tępym, upartym, egoistycznym i bezkrytycznie - tromtadrackim, niemal cała szlachta i możnowładztwo (bo inne warstwy społeczeństwa nie wchodziły wówczas jeszcze w rachubę jako czynniki polityczne). Tromtadracja szlachecka, podniecana i kierowana przez możnowładców, jednych głupio-poczciwych, oportunistów, żądnych popularności, a innych wprost występnych, stała się z biegiem czasu — a raczej w miarę postępującego rozkładu państwa — niejako racją stanu i bytu Polski. Szumne frazesy, donkiszockie hasła jarmarcznego, taniego patrjotyzmu pokryły w oczach szlacheckiej gawiedzi gruby, czysto geszefciarski egoizm, pychę, prywatę i zacietrzewione, tępo-bezmyślne partyjnictwo, kładąc już wówczas organiczne podwaliny pod nie mającą nigdzie zresztą na świecie analogji „zasadniczą opozycję“ przeciw wielkiej dyscyplinie państwowej. A pierwszym, praktycznym, widomym rezultatem tego specyficznie polskiego ducha demagogicznej haselkowatości i tromtadracji była jaskrawa sprzeczność między osiąganemi tu i ówdzie głośnemi sukcesami oręża, a przegrywanemi z zasady traktatami pokoju i ultra-naiwnemi przymierzami, które, mimo głośnych zwycięstw na polu walki, nigdy nie wyzyskanych, szczerbiły i kruszyły granice Rzeczypospolitej aż do punktu, gdy nieprzyjaciel mógł wreszcie pozwolić sobie na stopniowy a jawny zabór państwa i to pod sztandarem własnych haseł polskiej tromtadracji: a więc obrony szlacheckiej demokracji i bezkresnej swobody.

Wszak wkraczający do Polski Szwed, Moskal i Niemiec nie z czem innem szli na ustach, jak właśnie tylko ze zręcznie przeciw Polsce obróconemi hasłami ochrony dawnego ustroju (t. j. anarchji) i złotej, ultra-demokratycznej wolności szlacheckiej. Na te to hasła łowiono olbrzymią większość zanarchizowanego narodu, która czepiała się kolejno wszelkich zaborców, jako niby „deski zbawienia“, czyli „gwarantów“ przeciw... niezbędnej dyscyplinie i tężyźnie państwowej.

Ten zatruty duch, bijący w puste bębny tanich frazesów patrjotycznych, a z tępym uporem i skrajnym defetyzmem przeciwstawiający się wszelkiemu zdrowemu odruchowi należytego zorganizowania, zdyscyplinowania i uzdrowienia narodu, piętnujący każdego zdrajcą Ojczyzny, narodu i „najświętszych zdobyczy“ szlacheckiej demokracji, położył już wówczas — w trzech ostatnich wiekach upadku Rzeczypospolitej — psychiczne i faktyczne podwaliny tego „politycznego zboczenia umysłowego“, którego punktem kulminacyjnym i najjaskrawszym

sztandarem stała się Targowica i którego wierną kontynuatorką jest od pół wieku narodowa demokracja ze wszystkimi swymi politycznymi wasalami, sympatykami i przybudówkami.

Ta sama hasełkowa tromtadracja, ten sam duch zasadniczej opozycji, anarchji, defetyzmu i bezkresnej demagogji, pozbawiony w gruncie rzeczy wszelkiej etyki, wszelkiej uczciwości i wstydu, a kulminujący w staroszlacheckiej, anarchicznej maksymie: Polska — to tylko zbiór praw i przywilejów, służących egoizmowi i anarchji warstw, zapisanych ślepo pod sztandar skrajnego egoizmu i złotej wolności!

I nic nie zmieniło się w ciągu wieków w tej mentalności, jak tylko to, że ten starodawny duch razkładu, wyzyskując zrównanie polityczne stanów, wtargnął dziś do wszystkich warstw narodu. Marynarka, bluza robotnicza i sukmana zastąpiły dawny kontusz szlachecki, ale w treści owego rozkładowego ducha egoizmu, tromtadracji i anarchji nie zmieniło się nic, ani o jotę.

Wszak dzisiejszy stuprocentowy endek jest tak samo gotów zerwać sejmy i rozbić wszelką twórczą pracę w państwie, jak to czyniły dawne szlacheckie warchoły. A przedewszystkiem na samem dnie tego warcholskiego ducha leży — i z natury rzeczy musi leżeć — skrajny defetyzm i podświadoma niewiara w moc Polski, zrodzona z owej prastarej tendencji szukania zagranicą „gwarantów" dla utrzymania ustroju złotej wolności i demagogicznej anarchji przeciw dyscyplinie państwowej. Stąd prawdziwy endek dzisiejszy — a za jego psychicznym wpływem mniej lub więcej także jego różni adepci i sympatycy — trzymają się kurczowo t. zw. idei słowiańskiej, jako zastępczyni w ich mentalności gwarancji rosyjskiej przeciw wszelkim mocnym, zdecydowanym rządom w Polsce. Nazywa się to wprawdzie obroną zdobyczy demokracji i parlamentaryzmu, ale czyż w istocie rzeczy nie jest to identycznem z hasłami i duchem dawnej złotej wolności i Targowicy?

Tenże sam duch niewiary w moc Ojczyzny i podświadomego szukania obcych „gwarantów" płata dzisiejszej Targowicy srogie figle, przerzucając ją ze strachu w przeciwną ostateczność: bałwochwalczego kultu dla hitleryzmu i papuziego naśladownictwa niemieckich wzorów nacjonalistycznych na polskiej ziemi, chociaż mentalność endecko-targowicka jest programowo niby wroga Niemcom i z piekielnym wrzaskiem piętnuje każdego mianem germanofila i zdrajcy kraju, kto z realnie-dyplomatycznych względów ośmieli się choćby tylko wspomnieć o chwilo-

wej celowości polsko-niemieckiego porozumienia w pewnych konkretnych sprawach.

A przeciw tej całej zatrutej tradycji i duchowi hasełkowej anarchji, która osłabiła także i wskrzeszoną Polskę haniebną opozycją przeciw tworzeniu polskiego żołnierza — bo szukano gwarancji rosyjskich lub francuskich — oraz niemniej hańbiącym, defetystycznym traktatem pokojowym w Rydze, którym warcholscy polscy daktrynerzy przekreślili znowu połowę owoców orężnego zwycięstwa i polskiej krwi przelanej, ciągnie się na szczupłych szańcach poprzez dzieje nasze front tężyzny narodowej i Naprawy. Znajduje on poszczególne swe, głośne etapy w Konfederacji barskiej, reformach Konarskiego i innych, w niezbędnym zamachu stanu Konstytucji 3-go Maja, w legjonach Dąbrowskiego, w dalszych pozytywnych wysiłkach podniesienia narodu pod różnemi zaborami — nawet w udziale w powstaniach ze strony ludzi, którzy im w danym momencie byli przeciwni, ale wobec wybuchu walki o niepodległość uważali za konieczne rzucić swój życia los na stos nawet wbrew przekonaniom — wreszcie w krakowskiej szkole historyczno-politycznej, która z jednej strony stanowi naukową syntezę tego wielowiekowego wysiłku naprawy, z drugiej zaś uratowała pozytywnie dla polskości Galicję i poparła u schyłku swego zdecydowanym gestem, wpływem i staraniem rozwój nowych legjonów, jako zaczątku wojska polskiego i walk o niepodległość we właściwym, zdawna oczekiwanym momencie światowej zawieruchy.

A dziś ogólny ten kierunek naprawy — ilościowo ciągle jeszcze mniej liczny od reszty społeczeństwa, zahipnotyzowanego mniej lub więcej wpływem demagogicznej Targowicy — idzie naprzód i robi swoje. Nie robi tego prostolinijnie i idealnie, ale po linji nieraz bardzo łamanej, bo ludzie są ludźmi i ideału nie znajdziesz nigdzie na świecie. Ale twardy kierunek Naprawy, wyznający wiarę w moc Polski, jest, trwa i wśród warcholskiej opozycji pełni swe zadanie dziejowe, mimo zwiększonych dzisiaj trudności, spiętrzonych rozkładową akcją nowoczesnych „obcych agentur".

A więc z jednej strony defetyzm, tępa opozycja i anarchja targowicka, podszyta niezmiernie sprytną penetracją obcych agentur — z drugiej szczuplejsze, ale mocne szańce Naprawy Rzeczypospolitej. A między nimi wielka rysa — przepaść!!!

Wprawdzie i szańce Naprawy podminowane są dziś silnie przez obce agentury. Ale są te agentury na tych szańcach

mniej szkodliwe, gdyż występują jawnie i mogą być tem łatwiej demaskowane i wreszcie zdruzgotane. Tymczasem po stronie „Targowicy“ kryją się obce złe moce zręcznie a perfidnie pod wszelakie patrjotyczne, ba, nawet pobożnościowe sztandary, wyzyskując dla swych celów wszelkie wzniosłe hasła dobra Ojczyzny, „wyzwolenia“ ludu, utrzymania „zdobyczy postępu“ i t. p.

Oto zasadniczy przedział — prawdziwa przepaść — wykopana przez ostatnie wieki między jednym a drugim odłamem polskiego narodu. Wszystko inne, wszelkie formalne przynależności i różnice partyjne, to powierzchowne, zmienne flukta — jak się wyżej rzekło. Powierzchowne te przekonania zmieniają ludzie, jak rękawiczki, przechodząc raz po raz z jednej partji do drugiej, a raczej powiedzmy szczerze: od jednego żłobu do drugiego. Natomiast owa wielka rysa w mentalności narodu jest, jak dotąd, nieprzekraczalna. Rzadkie są wypadki, żeby ją ktoś zdołał przeskoczyć, a i wówczas poważna budzi się kwestja, czy ten przeskok podyktowany jest szczerą zmianą przekonań, czy tylko zamaskowanym oportunizmem?

Bo fakt istnienia Polaka po jednej lub drugiej stronie owej wielkiej rysy, a więc po stronie targowicy lub naprawy, nie jest kwestją przekonania do jakiegoś chwilowego programu, ale... układu komórek mózgowych. Z organicznego defetysty i niedołęgi, który niedołęstwo to odziedziczył po długim szeregu przodków, nie podobna zrobić odrazu mocnego człowieka. I dlatego rodacy nasi, stojący po obu stronach wielkiej rysy, nie tyle różnią się w gruncie rzeczy jakiemiś na serjo przekonaniami politycznemi, ile przedewszystkiem tem, że mówiąc wspólnym polskim językiem, zupełnie się nie rozumieją. Te same wyrażenia mają po obu stronach inne znaczenie, poczynając od samego wyrazu: Ojczyzna. Wszak pojęcie o Polsce, jej dobru, misji i celach jest zasadniczo odmienne po obu stronach wielkiej rysy. Jak w takich warunkach można się porozumieć?

I ten generalny podział, jakiego trudno by znaleźć w innych narodach w podobnym stopniu, a który powstał organicznie z samych dziejów i przyczyn dawnego upadku Polski oraz usiłowań odzyskania niepodległości, jest największem naszem nieszczęściem i największym hamulcem w dziele restytucji Polski mocarstwowej. Jest zarazem największym szkopułem w akcji odrodzenia prawdziwego ducha katolickiego w naszym narodzie, a ułatwieniem dla penetracji obcych agentur. Albowiem wszelkie królestwo, podzielone przeciw sobie, ostać się nie może...

Jan Bobrzyński.

Ustawa anty-agenturowa

W związku z bardzo już obszernym całokształtem prac naszych i akcji, wymierzonych przeciw „obcym agenturom", których głęboki wpływ płodzić już zaczyna naprawdę groźne rezultaty zarówno w polskiem społeczeństwie, jak i w zamieszkujących państwo nasze innych narodach, zamieszczamy poniżej projekt ustawy anty-agenturowej, opracowanej przez nas w tej pierwszej postaci znacznie przed niedawną anty-agenturową dyskusją w Sejmie.

Akcentujemy, że „w pierwszej postaci", gdyż nie mamy żadnej pretensji uważania tego projektu za jakiś ostateczny, niewzruszalny elaborat. Traktujemy go raczej jako pierwszy, skonkretyzowany impuls dla naszych prawodawców i wyrażamy jedynie życzenie, aby przyszły oficjalny projekt jaknajrychlej ukazał się i wszedł w życie, a nie był słabszym od naszego. Wszelki bowiem miękki kompromis ustawodawczy z wrogiemi agenturami unicestwi bezwzględnie wartość danej ustawy i sprawdzi się wówczas słynne zdanie twórcy frankizmu z przed dwustu lat, że Polska jest najdogodniejszym azylem dla obcych mocy, gdyż Polacy to „naród poczciwy a głupi".

Zaznaczamy, że projekt niniejszy odnosi się do wszelkich obcych agentur wogóle, ale że przeciw bolszewizmowi stworzyć trzeba jeszcze dodatkową, specjalną ustawę, uwzględniającą specyficzne strony komunistycznego i wogóle moskiewskiego niebezpieczeństwa. Projekt taki w najbliższym czasie również opracujemy.

Przy tej okazji zaznaczamy również, że nazwiska masonów, które wymienił poseł Dudziński w Sejmie, są w istocie drugorzędne i zabawnie mało szkodliwe. To nazwiska tylko manekinów obcej agentury. Prawdziwi jej przywódcy i wielcy szkodnicy są inni i szukać ich trzeba niestety wśród najbardziej nieraz patentowanych patrjotów.

Ale to już inna materja, która do niniejszego elaboratu nie należy.

Projekt ustawy anty - agenturowej, ujętej w formie rozporządzenia Prezydenta Rzeczypospolitej, a zmierzającej do skasowania i zahamowania rozwoju wszelkich anypaństwowych zrzeszeń i konspiracji oraz wpływu destruktywnych czynników zagranicznych.

ROZPORZĄDZENIE PREZYDENTA RZECZYPOSPOLITEJ O OCHRONIE RZECZYPOSPOLITEJ.

z dnia . . . . 193 r.

Na podstawie art. 44 ust. 6 Konstytucji i ustawy z dnia 2 sierpnia 1926 r. o upoważnieniu Prezydenta Rzeczypospolitej do wydawania rozporządzeń z mocą ustawy (Dz. U. R. P. Nr. 78, poz 443) postanawiam co następuje:

Art. I. Z uwagi na konieczność wzmocnienia ochrony i bezpieczeństwa Rzeczypospolitej zakazana zostaje na obszarze Państwa Polskiego działalność:

a) stowarzyszeń, opierających się o jakiekolwiek doktryny, zasady lub wogóle zamierzenia tajemne, wymagających od stowarzyszonych tajemnicy i bezwzględnego posłuszeństwa, a zależnych od central zagranicznych lub od tych central niezależnowych organizacji krajowych,

b) stowarzyszeń oraz stronnictw politycznych, będących — mimo ich pozornego, wewnętrzno - krajowego charakteru — w istocie ekspozyturami destruktywnych dla Polski organizacji i wpływów zagranicznych,

c) stowarzyszeń, istniejących dotąd legalnie, które pod pozorem głoszonych przez nie celów dobroczynnych działają w charakterze ekspozytur organizacji lub prądów, wymienionych w obu poprzednicch ustępach,

d) stowarzyszeń o charakterze współpracy międzynarodowej lub mających na celu zacieśnienie stosunków politycznych, kulturalnych lub gospodarczych między Polską a innemi państwami, które w praktycznem swem działaniu wykazują szkodliwe dla Polski wpływy państw lub organizacji zagranicznych.

Art. II. Rozporządzenie wykonawcze wymieni dokładnie listę stowarzyszeń, określonych w poprzednim artykule. Lista ta będzie w miarę potrzeby uzupełniana.

Art. III. Istniejące stowarzyszenia w rozumieniu Art. I. podlegają niezwłocznemu rozwiązaniu. Władze wyznaczą w każ-

dym wypadku kuratora dla likwidacji. Majątek tych stowarzyszeń przechodzi na skarb państwa.

Art. IV. Zakazane jest w szczególności popieranie działalności, ideologji i dążeń stowarzyszeń lub wpływów, wymienionych w Art. I. za pomocą prasy, literatury i wszelkich innych środków propagandowych, choćby nawet środki te miały pozory objektywizmu i patrjotyzmu.

Art. V. Zakazana jest również działalność stowarzyszeń i stronnictw politycznych, opartych na doktrynach i dążeniach międzynarodowych, zmierzających w ostatecznym rezultacie do destrukcji Państwa Polskiego oraz polskiej idei narodowej. Takie doktryny i oparte o nie stowarzyszenia lub stronnictwa polityczne nie mogą posiadać na obszarze Rzeczypospolitej jakichkolwiek reprezentacji, ani figurować w akcji wyborczej, ani występować w jakiejkolwiek formie w Izbach Ustawodawczych.

Pod pojęcie doktryn międzynarodowych w powyższym sensie, dla państwa szkodliwym, nie podpadają legalnie uznane wyznania religijne.

Art. VI. Winni przekroczenia postanowień Art. I, III, IV i V. niniejszego rozporządzenia, usiłujący w jakikolwiek sposób przyczynić się do dalszej działalności zakazanych stowarzyszeń i wpływów lub przeszkodzić ich likwidacji, ulegają, o ile czyn nie stanowi surowiej zagrożonego przestępstwa, karze grzywny do 10.000 zł., a nadto zamknięciu w miejscu odosobnienia do jednego roku lub karze więzienia do 5-ciu lat, z pozbawieniem w każdym wypadku praw obywatelskich i konfiskatą majątku osobistego i zrzeszeniowego.

Art. VII. Urzędnicy cywilni w służbie państwowej i samorządowej oraz wojskowi w służbie czynnej, poza przewidzianymi w Art. VI. karami, ulegają wydaleniu ze służby i pozbawieniu praw emerytalnych.

Art. VIII. Cudzoziemiec, winny przekroczenia postanowień Art. I. III, IV i V. niniejszego rozpoządzenia, o ile czyn jego nie stanowi surowiej karalnego przestępstwa, podlega wysiedleniu, a majątek jego konfiskacie. Konfiskatę można orzec także wtedy, jeżeli postępowania przeciw sprawcy czynu nie można było wdrożyć.

Do orzekania w tym zakresie są powoływnae Sądy okręgowe na wniosek Komisji Ochrony Rzeczypospolitej, przewidzianej w następnym artykule.

Art. IX. Powołana zostaje stała Komisja Ochrony Rzeczypospolitej, podległa bezpośrednio Ministrowi Spraw Wewnętrz-

nych. Zadaniem Komisji jest czuwanie nad wykonaniem niniejszego rozporządzenia, prowadzenie ewidencji, i uzupełnianie listy stowarzyszeń, podlegających rozwiązaniu oraz wogóle szkodliwych dla państwa doktryn i wpływów, mających ulec likwidacji, wyznaczanie kuratorów do przeprowadzenia likwidacji zakazanych stowarzyszeń, kontrola działalności tych likwidatorów i skierowanie wniosków do sądów i władz w sprawach karnych i konfiskat.

Art. X. Listę stowarzyszeń, podlegających rozwiązaniu w myśl niniejszego rozporządzenia, ogłasza się w formie dekretu, podpisanego przez Ministra Spraw Wewnętrznych w charakterze przewodniczącego Komisji Ochrony Rzeczypospolitej i Ministra Sprawiedliwości.

Art. XI. Wykonanie niniejszego rozporządzenia i związanych z niem dekretów powierza się Ministrowi Spraw Wewnętrznych w charakterze przewodniczącego Komisji Ochrony Rzeczypospolitej.

Art. XIII Rozporządzenie niniejsze wchodzi w życie z dniem ogłoszenia.

Sekcja walki z obcemi agenturami
Związku Polskiej Myśli Państwowej

Nieczyste Czeskie kulisy

Dokładna obserwacja i statystyka faktów czeskiej polityki od pierwszej chwili — a nawet i przed tą pierwszą chwilą — powstania tworu „czechosłowackiego“ wykazuje niezbicie, że w długim szeregu różnych nieczystych pociągnięć politycznych w Europie kryje się za ich kulisami czeska inicjatywa lub intryga.

Podajmy kilka konkretnych przykładów.

Oto w Brukseli, w drugiej połowie lutego b. r., popełniono zamach na byłego sowieckiego wiceadmirała floty bałtyckiej Sobolewa. Napadnięto go na schodach jego mieszkania, uderzono kilkakrotnie z tyłu w głowę tępem narzędziem, a przed śmiercią uchronił go tylko twardy kapelusz.

Admirał ten, pełniący w Sztokholmie funkcje attaché rosyjskiej marynarki, otrzymał — jak wielu innych rosyjskich dyplomatów — nakaz natychmiastowego powrotu do Rosji. Dowiedziawszy się jednak, że został skazany na śmierć przez bolszewickich katów, wolał oczywiście schronić się najpierw w Niemczech, potym w innych państwach i tam w enuncjacjach swych publicystycznych występował odtąd przeciw Sowietom. Osiadł wreszcie w Brukseli i wówczas — według doniesienia ostrawskiego „Polednego Denika“ (nr. 43, z 22-go II. b. r.) — otrzymał polecenie wykonania na niego zamachu Czech — bolszewik, Wacław Heran, który też na parę dni przed zamachem zajął mieszkanie w tym samym domu.

Zamach ostatecznie się nie powiódł, skoro Sobolew uszedł z życiem, a napastnik Heran zniknął zaraz po tem, jak kamfora, w myśl planu GPU.

Inny przykład, znacznie wcześniejszy. W związku z zamachem, planowanym na życie Hitlera w 1935 r. aresztowały władze niemieckie dwóch Czechów („Narodni Listy-Vecernik, nr. 68 z 9-go III 1935).

W r. 1937 władze niemieckie skazały na śmierć niemieckiego emigranta, Żyda Helmuta Hirscha, ukrywającego się na emigracji w Czechach. Przekradł się on stamtąd do Niemiec z maszyną piekielną i innemi materjałami wybuchowemi, za pomocą których miał dokonać zamachu na Hitlera i innych niemieckich mężów stanu („Lidove Noviny" nr. 279 z 5-go VI, 1937).

Praskie „Ceskie Slovo" (nr. 131 z 5-go VI, 1937) przyznało wówczas, że „praski student" Helmut Hirsch przewiózł z Czechosłowacji do Niemiec „drobnostki" — bo tylko dwie walizy materjału wybuchowego! I pismo to zastanawiało się wtedy jeszcze nad drugą z rzędu „drobnostką", że widocznie ktoś musiał plan tego zamachu zdradzić Niemcom jeszcze w... Pradze.

W kołach praskich lewicowców planowano także zamach na życie Mussoliniego. Praski „Venkov" (nr. 70 z 23-go III, 1937), mający porachunki z głównym organem czeskich socjalistów „Pravo lidu", podniósł pod adresem jego zagranicznych korespondentów znamienne zapytanie: „czy przypadkiem do ich grona nie należy także człowiek, oskarżony o to, że dawał swego czasu pieniądze na zamach przeciw Mussoliniemu?"

„Poledni List" (nr. 4 z 5-go I, 1938), wskazując również na to zdarzenie, ogłasza, że... „włoska oficjalna kancelarja oskarżała czesko-słowackiego socjalistę Wintera o udział w finansowaniu planowanego zamachu na Mussoliniego".

Należy przy tym zaznaczyć, że w czasie planowania tego zamachu rodzony brat oskarżonego Wintera był aktywnym ministrem w czeskim rządzie z ramienia czeskich socjalistów!

Dalej — rosyjski emigrant Gorgułow, morderca francuskiego prezydenta Doumera, przebywał na wyszkoleniu przez długie lata w Czechach i stąd przygotowywał się do wykonania zamachu („Vecerni Ceske Slovo", nr. 157 z 5-go VI, 1937).

Według doniesienia „New-York Daily News" czeski anarchista, Józef Kühnel, przygotowywał zamach na prezydenta Stanów Zjednoczonych, Roosevelta („Nemzeti Ujsag", nr. 203 z 5-go IX, 1936).

Według doniesienia „Daily Heraldu", policja francuska przytrzymała pewnego czeskiego terrorystę, który miał wykonać zamach na księcia jugosłowiańskiego Tomisława („Magyarsag" z 23-go I, 1938).

Tak poważne włoskie pismo, jakiem jest „Giornale d'Italia" oskarżyło z końcem lutego b. r. prezydenta Benesza, że on to

najlepiej mógłby powiedzieć, jak to było z owymi planami zamachu na życie Mussoliniego. Pisała o tem następnie prasa całego świata.

Taką tedy w dziejach powojennych „chlubną“ kartę zajmują Czesi — czy też, pardon, ich Czecho-Słowacja — w rubryce różnych zamachów morderczych, w czem nie brak nawet nazwiska prezydenta tej osobliwej republiki! Ale nie brak Czechom jeszcze innych, niemniej „chlubnych“ kart w całym ciągu tej paskudnej historji .

Oto gdy władze węgierskie wykryły w r. 1932 spiskową drukarnię komunistyczną w Budapeszcie, okazało się, że organizatorką jej i kierowniczką była Czeszka, niejaka Kapacekowa („Morgenzeitung“, nr. 230 z 20-go VIII, 1932).

Gdy władze rumuńskie zaaresztowały w r. 1931 trzech zamachowców z materjałem wybuchowym, okazało się, iż byli to Czesi: Ryszard Weiser, Mirosław Karol Vorhryńsky i Franciszek Hasal („Ceskie Slovo“, nr. 246 z 22-go X, 1931).

Kiedy w Niemczech władze wykryły spiskową organizację komunistyczną, okazało się, iż organizatorem jej był „Czechosłowak“ Rudolf Röhr („Narodni Oswobozeni“, nr. 245 z 17-go X, 1937).

Za uprawianie agitacji komunistycznej zasądzono niedawno na śmierć w Niemczech również Czecha, doktora filozofji Feliksa Bobka, syna profesora praskiej politechniki, dr. Karola Bobka (ostrawskie „Ceskie Slovo“, nr. 36 z 6-go II, 1938). Pismo to podkreśla jeszcze z tupetem, że ścięty toporem Bobek nigdy nie krył się ze swojem przekonaniem komunistycznem. To samo ostrawskie „Ceskie Slovo‘ (nr. 36 z 6-go II, 1938), skarży się nadto, że obywatele czescy, przebywający „przypadkiem“ w Trzeciej Rzeszy są prześladowani, z powodu ich komunistycznych poglądów. Pismo to sądzi widocznie, że Hitler powinien obdarzać ich orderami za demoralizowanie i usiłowanie rewoltowania ludności w Niemczech!

Nawet w dalekiej Argentynie schwytano i skazano na 15 lat twierdzy praskiego Czecha, Franciszka Neduchala, za organizowanie terroru komunistycznego przeciw swemu pracodawcy. „Vecernik Narodni Listy“ (nr. 39 z 9-go II, 1938), donosząc o tem, dodaje, iż skazany „zapomniał, że nie jest w Czecho-Słowacji, robiąc coś, co się może toleruje w Czecho-Słowacji, ale czego się nie toleruje w Argentynie“.

Gdy w ubiegłym roku władze polskie zlikwidowały wiadome bunty czy ruchawki w pewnych okolicach państwa, wydaną zostatła znana deklaracja sfer rządowych, w której wskazano, między innemi, na pewne „podszczuwanie z zagranicy". Wiadomo powszechnie w polskiej opinji publicznej, że ogólne te słowa odnosiły się do „pobratymców" czeskich i chociaż władze polskie nie wskazały wprost palcem na Czechów, każdy w Polsce dobrze zrozumiał o kogo chodzi. Tem bardziej, że odezwały się zaraz przysłowiowe „nożyce na stole", mianowicie czeska urzędowa agencja prasowa C. T. K., publikując następujące kłamliwe oświadczenie: „Kampanja przeciw Czechosłowacji. Niektóre pisma zagraniczne przynoszą wiadomość, że u demonstrantów w Polsce znaleziono broń czeskosłowackiego pochodzenia i nadto, że ulotki, szerzone przez demonstrantów, drukowane były w czeskosłowackiej drukarni. Jesteśmy upoważnieni donieść, że obie wiadomości są zupełnie zmyślone i tendencyjne". („Narodni Politika", nr. 234 z 27-go VIII, 1937).

A więc ogłaszają Czesi urzędowe dementi, mimo iż stwierdzono ponad wszelką wątpliwość, że dostarczone buntownikom karabiny i ulotki były czeskiego pochodzenia i że Czesi podszczuwają Ukraińców, Żydów i inne narodowości przeciw Polsce.

Jak więc widzimy, maczają Czesi wszędzie swe brudne łapy w spiskach i agitacjach rozruchowych swych sąsiadów, szczując zwłaszcza przeciw Polsce nawet słowacką opinję, jak to uczynił w swej osławionej książce czeski „dyplomata" Szeba.

Nic więc dziwnego w tem, że np. Austrja wydala poprostu z granic swoich obecnie różne czeskie jednostki*). Wydala mianowicie pozostające ze sobą w jakiejś dziwnej, osobliwszej harmonji następujące czeskie żywioły:

1) rdzennych Czechów z powodu ich jawnej agitacji komunistycznej, przy czem wspomnieć należy, że zamachu na śp. ks. prałata Seipla dokonał swego czasu także Czech,

2) Niemców czeskich jako jawnych agitatorów na rzecz hitleryzmu.

W ciągu dwóch ostatnich lat wydalono z Austrji przeszło 1300 „Czechosłowaków" jako bardzo niepożądany element! („Lidowe Noviny", nr. 48 z 28-go I, 1938 r.)

---

*) Pisane przed zajęciem Austrji przez Niemców.

Czecho-Słowacja zorganizowała kancelarje poborowe we wszystkich niemal sąsiednich państwach na rzecz czerwonej Hiszpanji, a więc na usługach Moskwy! Prócz tego znajduje się w Pradze także centrala wszelkich narkotyków, skąd zatruwa się nimi całą środkową Europę.

Jeżeli więc Czesi wciąż chełpią się swem rzekomem „posłannictwem kulturalnem" w Europie i dokonanymi już rzekomo cudami swej osobliwej kultury, to już same powyższe dane, aczkolwiek tylko fragmentaryczne, zaczerpnięte prawie w całości z samej prasy czeskiej, jako źródła zaprawdę bardzo dziwnie i niechlubnie świadczą o owem „posłannictwie" Czechów w Europie.

Zaprawdę, mają Czesi wszelkie powody do przeprowadzenia raz nareszcie gruntownego rachunku sumienia, póki czas po temu i zanim nie nadejdzie moment, w którym inni, przez nich poszkodowani, nie zabiorą się do energicznego wyprania sumienia tego dziwnego narodu i wszelkich brudów czeskich.

Franciszek Unger.

Autor powyższego, bardzo aktualnego alarmu, nie wspomina o jednym jeszcze i to najgłośniejszym, najhaniebniejszym wyczynie Czechów, skierowanym zdradziecko przeciw władcy zaprzyjaźnionego z Czechosłowacją państwa, partnera Małej Ententy — mianowicie o morderczym i niestety skutecznym zamachu na śp. króla Jugosławji, Aleksandra. Śledztwo wykazało, że bezpośrednimi zamachowcami wprawdzie nie byli Czesi, niemniej jednak władze czeskie umaczały i w tem swe ręce przez pewnego rodzaju ułatwienie podróży mordercom.

Jeżeli więc masońskie rządy czeskie popierają zamachy nawet na swych słowiańskich sojuszników, to cóż dopiero mówić o ich kryminalnie brudnej polityce względem nie związanych z nimi sojuszem sąsiadów!

Ale o ile z moralnego punktu widzenia musimy oburzać się na tego rodzaju taktykę, mordu i rozpaczy ze strony małego narodku, usiłującego — w braku lepszych metod — utrzymywać swój sztuczny twór państwowy na mapie Europy w kompanji z bolszewikami, to z politycznego punktu widzenia, możemy odczuwać mimowoli pewną Schadenfreude, że taką „sztuką dyplomatyczną" nienaturalne w obecnych granicach państwo czeskie samo się likwiduje. Tylko tak dalej tą metodą,

i w tych kierunkach — a przy odpowiedniej dozie cierpliwości i należytego przygotowania weźmiemy udział w odpowiednim momencie, bez większej fatygi, w postępowaniu likwidacyjnem masońsko-bolszewickiego tworu „czeskosłowackiego".

I jeżeli rdzenny naród czeski nie zmieni do gruntu swych metod i swego nastawienia, nie wyrzeknie się szatana żerujących na nim „obcych agentur" i nie zmieni całkowicie swych rządów, narzuconych mu akcją pp. Masaryka, Benesza i podobnych „patrjotów", to musi prędzej czy później przyjść moment, w którym spokojnie, bez żadnej wojny europejskiej, weźmie Polska korzystny dla siebie udział w automatycznym rozpadzie i rozbiorze Czechosłowacji. A bratniemu nam narodowi słowackiemu, dławionemu bolszewickiemi metodami w pełni cywilizowanego XX-go wieku, zabłyśnie wówczas światło wyzwolenia.

REDAKCJA.